

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ISABEL

Kiedy siadałam za kółko w obecności mojego ojca lub matki, momentalnie stawałam się gorszym kierowcą. Niezależnie od tego, ile czasu codziennie spędzałam z dłońmi na kierownicy, a nogą na gazie, towarzystwo rodzica na siedzeniu pasażera wystarczało, żebym hamowała za mocno, skręcała za ostro i przypadkiem uruchamiała wycieraczki, próbując włączyć radio. I chociaż zwykle nie mówiłam do ludzi, którzy nie mogli mnie słyszeć (Sam Roth zaczynał być godnym wyjątkiem od tej reguły), gdy jechało ze mną któreś z rodziców, nagle zaczynałam komentować głupie indywidualne tablice rejestracyjne innych pojazdów typu Zeus albo warczałam na innych kierowców, którzy włączali kierunkowskaz na trzy kilometry przed planowanym manewrem.

Dlatego też, kiedy światła mojego samochodu padły na przypominający ciężarówkę pojazd częściowo tylko stojący na poboczu, z przodem skierowanym w stronę rowu, rzuciłam kąśliwie:

- Łał, ktoś wykazał się znakomitymi umiejętnościami, jeśli chodzi o parkowanie.

Moja matka, senna i dobrotliwa z powodu wina i późnej godziny, nagle się ożywiła:

- Isabel, zatrzymaj się. Mogą potrzebować pomocy.

Chciałam tylko dotrzeć do domu, żeby móc zadzwonić do Sama albo w ostateczności do Cole'a i dowiedzieć się, co się dzieje z Grace. Byłyśmy zaledwie kilka kilometrów od celu. Co za złośliwość losu! Pojazd przy drodze wyglądał odrobinę podejrzanie.

- Mamo, to ty mówiłaś, żebym nigdy się nie zatrzymywała, bo mogę zostać zgwałcona albo poderwana przez demokratę.

Mama potrząsnęła głową i wyciągnęła puderniczkę z torebki.

- Nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego. To mi pasuje raczej do twojego ojca. – Opuściła osłonę przeciwsloneczną, żeby przejrzeć się w małym lusterku. – Ja bym powiedziała: „przez libertarianina”.

Zwolniłam. Furgonetka – okazało się, że to była jedna z tych z paskudną wysoką nadbudówką, przy zakupie której pewnie trzeba pokazać dowód osobisty i udowodnić, że ma się ponad pięćdziesiąt lat – sprawiała wrażenie, jakby należała do pijanego kierowcy, który zatrzymał się, żeby zwymiotować.

- Zresztą jak możemy pomóc? Nie potrafimy... zmienić opon. – Zastanawiałam się, co jeszcze może skłonić kogoś do zjechania na pobocze poza ataku mdłości.
- Tam jest policjant – powiedziała mama.

I rzeczywiście. Na poboczu był też zaparkowany radiowóz, zasłonięty całkowicie przez ogromną furgonetkę.

- Mogą potrzebować pomocy medycznej – dodała mama pozornie beztrusko.

Mama żyła na co dzień nadzieją, że trafi na kogoś potrzebującego natychmiastowej pomocy medycznej. Kiedy byłam mała, zwykle niecierpliwie czekała, aż ktoś się skaleczy na placu zabaw. Obserwowała kucharzy w restauracjach, oczekując jakiejś katastrofy. W Kalifornii zawsze zatrzymywała się przy wypadkach. Gdyby była superbohaterką, jej zwołanie brzmiałoby: „Czy ktoś potrzebuje lekarza? Ja jestem lekarzem!”. Mój ojciec mówił, że muszę przymknąć na to oko. Mamie było bardzo trudno zdobyć tytuł lekarza z powodu problemów rodzinnych i po prostu ekscytowała się możliwością mówienia ludziom, że jest doktorem. Okej, należy się realizować w życiu, ale uważałam, że trochę przesadza.

Wzdychając, zatrzymałam się za furgonetką. Zaparkowałam z pewnością lepiej niż jej właściciel. Moja matka zgrabnie wyskoczyła z SUV-a, a ja powoli ruszyłam za nią. Z tyłu furgonetki były trzy naklejki: „Zaciągnij się”, „Dzwonisz? Nie jedź!” i – czego nie potrafiłam pojąć – „Wolę mieszkać w Minnesocie”.

Po drugiej stronie wozu gliniarz rozmawiał z rudowłosym mężczyzną, który miał na sobie biały T-shirt i spodnie na szelkach. Co ciekawe, przez otwarte drzwi auta zobaczyłam broń leżącą na siedzeniu pasażera.

– Pani doktor Culpeper – przywitał ciepło policjant moją matkę.

Ona z kolei przybrała swój najśłodszy głos – ten, który oblewał rozmówcę obficie i tak powoli, że nie orientował się nawet, w którym momencie zaczął się dusić:

- Funkcjonariusz Heifort! Zatrzymałam się, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje pan pomocy.
- Cóż, to niezwykle uprzejme z pani strony – podziękował policjant. Palce miał zatknięte za pas z kaburą. – To pani córka? Równie ładna jak matka, pani doktor...

Moja mama zaprotestowała kurtuazyjnie, ale Heifort obstawał przy swoim.

Rudowłosa mężczyzna przestępował z nogi na nogę. Po chwili między dorosłymi wywiązała się rozmowa o ilości komarów o tej porze roku. Rudy powiedział, że nie jest nawet w przybliżeniu tak źle, jak miało być.

– Po co ta broń? – zapytałam nagle.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Wzruszyłam ramionami.

– Tylko się zastanawiam.

Heifort wyjaśnił.

– Cóż. Wygląda na to, że ten oto pan Lundgren postanowił na własną rękę zapolować na wilki i znaleźć się w centrum uwagi.

Rudowłosa pan Lundgren zaprotestował:

- Zaraz, zaraz, panie władzo, wie pan, że było inaczej. Tak się złożyło, że akurat natknąłem się na jednego, więc strzeliłem do niego z wozu. To nie to samo.
- Chyba nie – zgodził się Heifort. – Ale mamy tu martwe zwierzę, a po zachodzie słońca nikt nie powinien do niczego strzelać. Tym bardziej z rewolweru kaliber 38. Wiem, że jest pan tego świadomy, panie Lundgren.
- Zaraz, zaraz – wtrąciłam. – Zabił pan wilka? – Wepchnęłam dłonie w kieszenie kurtki. Mimo że nie było zimno, zadrżałam.

Heifort machnął w kierunku przodu furgonetki, potrząsając głową.

- Mój mąż powiedział mi, że nikomu nie wolno na nie polować do czasu odstrzału z powietrza – powiedziała moja matka, a jej słodki głos nieco stwardniał. – Żeby ich nie wystraszyć. Żeby się nie pochowały.
- To prawda – potwierdził policjant.

Odeszłam od nich i zbliżyłam się do rowu, który wskazał Heifort, świadoma tego, że Rudy obserwuje mnie smętnie. Zobaczyłam zwierzę leżące na boku w trawie.

„Dobry Boże i święty Antoni, wiem, że proszę o mnóstwo głupich rzeczy, ale ta jedna jest ważna. Proszę, niech to nie będzie Grace”.

Chociaż wiedziałam, że powinna być bezpieczna z Samem i Cole’em, wstrzymałam oddech i z trwoga w sercu podeszłam bliżej. Futro zwierzęcia falowało na wietrze. Jedna krwawa rana znaczyła jego tylną łapę, druga bark, a ostatnia czaszkę. Czubek łba, gdzie kula przeszła na wylot, wyglądał nieco obrzydliwie. Gdybym chciała sprawdzić, czy oczy wyglądają znajomo, musiałabym uklęknąć, ale nie miało to sensu.

- To jest kojot – zauważyłam oskarżycielsko.
- Zgadza się – przyznał Heifort, znów używając sympatycznego tonu. – Spory, prawda?

Odetchnęłam. Nawet miastowa dziewczyna taka jak ja potrafiła odróżnić wilka od kojota. Zaczęłam podejrzewać, że pan Lundgren wypił o jednego za dużo albo po prostu chciał wypróbować nową broń.

- Nie miewa pan za dużo takich sytuacji, prawda? – zapytała mama w taki sposób, jakby chciała się dowiedzieć czegoś dla ojca, a nie dla siebie. – Ludzi biorących sprawy w swoje ręce? Trzymacie to w sekrecie?
- Robimy, co możemy – zapewnił Heifort. – Większość się pilnuje. Nie chcą niczego zepsuć przed przybyciem wojska. Ale nie byłbym zaskoczony, gdybyśmy mieli jeden czy dwa wypadki przed właściwym polowaniem. Chłopcy są tylko chłopcami – powiedział, wskazując na pana Lundgrena, jakby tamten był głuchy. – Jak już mówiłem, robimy, co w naszej mocy.

Moja matka nie wyglądała na zadowoloną. Nieco chłodniejszym tonem dodała:

- To samo mówię swoim pacjentom. – Ściągnęła brwi, patrząc na mnie. – Isabel, nie dotykaj tego.

Jakbym miała zamiar. Przebrnęłam przez trawę i stanęłam znowu obok niej.

- Nie piła pani dzisiaj, prawda, pani doktor? – zapytał Heifort, gdy mama odwróciła się, by odejść. Popatrzyli na siebie w taki sam sposób. Z ukrywaną wrogością.

Moja matka obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Ależ tak – przerwała, by mógł się nad tym zastanowić. – Ale prowadzi moja córka. Chodź, Isabel.

Gdy tylko wróciliśmy do samochodu, matka zatrzasnęła za sobą drzwi i warknęła:

- Prostack. Nie znoszę go. To chyba wyleczyło mnie z moich filantropijnych skłonności na dobre.

Nawet przez chwilę w to nie wierzyłam. Następnym razem, gdy tylko pomyśli, że może pomóc, znowu wyskoczy z samochodu, jeszcze zanim auto porządnie się zatrzyma. Czy będą jej potrzebować, czy nie.

Chyba zaczynałam coraz bardziej przypominać matkę.

- Tata i ja rozmawialiśmy o powrocie do Kalifornii – wypaliła nagle. – Kiedy to wszystko się skończy.

O mały włos nie rozbiłam samochodu.

- I kiedy zamierzaliście mi o tym powiedzieć?
- Jeszcze nie wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Dostałam parę propozycji pacy. Została jeszcze kwestia tego, za ile możemy sprzedać dom.
- Pozwól, że powtórzę – wydusiłam prawie bez tchu. – Kiedy zamierzaliście mi powiedzieć?

Matka była wyraźnie zmieszana.

- Cóż, Isabel, idziesz do college'u, a poza dwiema wszystkie szkoły z twojej listy są właśnie tam. Wygodniej ci będzie nas odwiedzać... Myślałam, że nienawidzisz Minnesoty.
- Nienawidziłam. Nienawidzę. Ja po prostu... nie mogę uwierzyć, że wcześniej mi nie powiedzieliście, że jest taka opcja, zanim... - Nie byłam pewna, jak dokończyć to zdanie, więc umilkłam.
- Zanim co?

Wyrzuciłam dłoń w powietrze. Uniosłabym obie, ale musiałam czuwać nad kierownicą.

- Nic. Kalifornia. Świetnie. Juhuu!

Pomyślałam o tym, że będę mogła pochować zimowe kurtki do pudeł, znowu mieć życie towarzyskie, mieszkać gdzieś, gdzie nie wszyscy znali makabryczną historię śmierci mojego brata. Wymiana Grace, Sama i Cole'a na życie w cieple i z podręcznikami akademickimi. Tak, zawsze miałam w planach college w Kalifornii. W przyszłości. Najwyraźniej jednak przyszłość nastąpiła szybciej, niż się spodziewałam.

- Niewiarygodne, że ten mężczyzna pomylił kojota z wilkiem – rozmyślała na głos moja matka. Zatrzymałam się na naszym podjeździe.

Pamiętałam, że jak się tu wprowadzaliśmy, uważałam, że nasz dom wygląda jak z horroru. W mojej sypialni na poddaszu paliło się światło – musiałam zostawić je przez pomyłkę. Pomyślałam, że dziś ta

ogromna rezydencja w stylu Tudorów z jednym żółtym okienkiem na górze wygląda niczym obrazek z książki dla dzieci.

- Przecież te zwierzęta wyglądają zupełnie inaczej – dodała mama.
- Cóż – powiedziałam – niektórzy ludzie widzą to, co chcą widzieć.